

Spiżarka Hllyp Zioka

31.01.1994

Maria Bienia - Krosno

Urodziłam się 15.10.1908 w Krośnie, ale to było jeszcze wsią - Krościenko (...) w rodzinie chłopskiej, mieliśmy gospodarstwo 7 morgowe, 3 krowy, konie, ojciec pracował w dodatku, tak że powodziło się nam nieźle. Miałam 2 siostry (...) jedną siostrę przyrodną, a 1 rodzoną, brata starszego z pierwszego małżeństwa i drugiego brata z tego małżeństwa - Packa. Chodziłam do szkoły tutaj na Krościenku, to była szkoła 4 klasowa, prowadziły siostry felicjanki - zakonnice. I miała dwie klasy uzupełniające, to jeszcze było w tych czasach austriackich, gdzie po ukończeniu 4-ej klasy tej szkoły ludowej, chodziły tam kilka razy w tygodniu te dzieci na takie douczanie. W szkole była kaplica, ksiądz przyjeżdżał co niedzieli dla odprawienia mszy. Ukończyłam tę szkołę, po 4 klasie zapisałam się do miasta, do szkoły wydziałowej tzw. to dzisiejsza "dwójka". Tam było 3 klasy: 5, 6, 7. Nazywała się szkoła wydziałowa. Po tej szkole zdałam egzamin do seminarium nauczycielskiego. To było prywatne seminarium prowadzone przez księdza Szpetnara (?). No więc, nauka mi szła dobrze, bardzo dobrze, można powiedzieć, że się wybijałam i w r. 1928 zdałam maturę. Tak dobrze zdałam, że ta komisja egzaminacyjna mi dziękowała specjalnie w odpowiedzi. No i od razu pomyślałam o tym, że trzeba poszukać jakiejś pracy, no oczywiście nauczycielskiej. Ale gdzie? Tutaj nie przyjmowano w Krośnieńskim, to już czasy wolnościowe, niepodległości w dwudziestym ósmym roku, ale miejsca dla nauczycieli nie było, ani w Poznańskim nie było, a kilka lat wcześniej cała młodzież, a przeważnie mężczyźni, chłopcy, którzy ukończyli to seminarium nauczycielskie państwowe, to właśnie dostawali się w Poznańskie. Tam potrzebowano nauczycieli i tam właśnie 7 lat wcześniej ode mnie pojechał pracować przyszły mój mąż - Bienia tam pracował. A ja z namowy koleżanki Moskalówny Heleny, która pojechała wcześniej na tę placówkę, bo wcześniej o rok zdała maturę, właśnie pojechała na Polesie i stamtąd napisała list, że jest tak dobrze, że się mogę tam zgłosić. No więc nie wiele myśląc napisałam podanie i dostałam nominację już w dn. 15.08.1928 r. No i jeszcze przed 1.09 wyjechałam. Podróż długa to była, ciągnęło się,

bo trzeba było jechać przez Lwów, tam się 6 g^{obr} czekało na następny pociąg, no i jakoś dojechałam do tego Polesia, raczej - na to Polesie. W inspektoracie mnie przydzielono do Olbla, to było 5 km. od miasteczka powiatowego Kamienia Koszyrskiego. Dostałam się tam i razem ze mną, za kilka dni przyjechała druga nauczycielka, a kierownikiem szkoły był niejaki p. Wielgus, tak że było nas 4 siły. Były to warunki okropne, ponieważ nie było mieszkań, ale wieś dała nam domek, był to jednak taki domek strasznie prymitywny - jedna izba i taki jakby przedpokój, ale ściany były ani nie bielone, ani nie malowane, nie tynkowane, tylko po prostu z surowego drzewa. I zamiast podłogi to był tok z gliny. No, ale byłyśmy młode, to się jakoś tam żyło. Tam przepracowałam przez rok, później moja koleżanka wyszła za męża, trzeba było miejsce opróżnić, no więc na wniosek inpektora i moją prośbę przeniesiono mnie do Majdanku, a Majdanek to była kolonia polska, bardzo nieliczna, mieszkańców było tam bardzo mało, a dzieci w szkole dwadzieścia pięć. Tak że jednoklasówka, ale budynek był nowy - jedna klasa i mieszkanie dla nauczyciela. Stąd przeniesiono mnie do Chocieszowa, bo już wyszłam za męża i mój mąż - Bienia musiał się przenieść z Poznańskiego na Polesie, ponieważ nauczycieli z Polesia nie przenoszono w Poznańskie. Tak że mąż się przeniósł i tutaj zaczęliśmy pracę w Chocieszowie, gdzie już bym ^{Tam} do roku 1940 (...) Mąż przeniósł się w 1931 r. na Polesie, jeszcze przez pół roku pracował w Brześciu, nim przydzielono go do Chocieszowa razem ze mną. Tutaj pracował społecznie, wybudował też nową szkołę, do której przenieśliśmy się w 1936 r. już. Za swoją pracę otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi, za pracę społeczną. W 1939 r. wyjechaliśmy do Krosna na wakacje - jak co roku wyjeżdżaliśmy. I tutaj otrzymał kartę mobilizacyjną 15.08.1939 r. Wahał się, czy nie zabrać matki, twierdził, że bliżej granicy rosyjskiej nie braknie nam niczego. Ale matka nie zgodziła się, więc wyjechaliśmy z dziećmi do tej placówki, a mąż następnego dnia zgłosić się musiał w swoim pułku. Jego pułk macie-

rzysty to był w Śremie, w Poznańskim. Z chwilą, gdy zmienić pracę przeniesiono go do pułku w Łucku na Polesiu (Wołyniu ?) (...) Chyba 17 sierpnia wyjechał z domu. Potem go jeszcze raz widziałam, bo go odwiedziłam w Kowlu. I tego samego dnia, kiedy ja ze starszym synem byłam tam w odwiedziny, była pobudka i wymarsz. Później w 1940 r. mnie deportowano razem z dziećmi do Zw.Radz.; do Kazachstanu i tutaj szukałam jakichś wieści, jakichś wiadomości o moim mężu.

Skończyłam na tym, że wyjechał 16 czy 17 września, że go odwiedziłam jeszcze w Kowlu i wróciłam do szkoły, tzn. do swojej wioski. Tutaj między 1 a 17 września nie było nauki. Wojna się rozpoczęła, nauki nie było. Ale w tym czasie było bardzo niebezpiecznie, gdyż grasowały bandy ukraińskie i zawsze był ten strach, że mogą wtargnąć i krzywdę zrobić mnie i dzieciom. Ale przeszło jakoś spokojnie. W sąsiedniej wiosce, w Rzeczycy, zamordowano naszych znajomych, parę nauczycieli - to była Rzeczyca, później - w Majdanku gdzie przedtem uczyłam przed wyjazdem do Chocieszowa, wymordowano całą wieś. Była to kolonia polska, nieliczna, wspominałam już o niej, i tam tych ludzi wpędzono do jakiegoś nie zamieszkanego budynku, opleciono drutami kolczastymi, naniesiono słomy i podpalono. O innych mordach to już nie było mi wiadome. Od 17 września zaczęłam pracę w szkole, zatrudniono mnie jako nauczycielkę i pracowałam tam do dnia deportacji. W międzyczasie wzywano mnie do powiatu, do NKWD. I tam mi zadawano pytania dotyczące mojego męża. O mężu nie miałam żadnych wiadomości, chociaż przypominam sobie, że wrócił jeden z żołnierzy - chłopców miejscowych, który właśnie był w pułku mojego męża. I on mi przyniósł taką wiadomość: „kiedy nas otoczyli Rosjanie, to ja powiedziałam panu kierownikowi (bo to był jego kierownik szkoły), żeby zrzucił mundur, czy odpiął dystynkcje - ja mu pożyczę swojej bluzy i może się uratować, ale - dosłownie powtarzając słowa - pan kierownik odpowiedział: honor oficera polskiego na to mi nie pozwala. Tyle wiadomości mi przyniósł

ten żołnierz. Wiedziałam, że ich zagarnięto, otoczono wojskiem i zabrano. Po tym nie miałam wiadomości aż do listopada 39 r., kiedy otrzymałam od męża pierwszy list, 21.11.39. Adres był taki: Smoleńska obłast', Kozielsk, pocztowy jaszczyk nr 12, Bienia Jan Andriejewicz. W liście pisał o tym mniej więcej, że się o nas martwi i że potrzebna by mu była ciepła bielizna i że ma nadzieję, że wróci. Drugi list otrzymałam w lutym 1940, z 10 lutego. Też powtarza, że ma nadzieję powrócić. Miałam również trzeci list tej samej mniej więcej treści i w każdym liście wyrażał nadzieję powrotu i troskę o nas. Na tym się wiadomości o mężu skończyły.

13 kwietnia 1940 r. deportowano mnie do Zw.Radz. (...) Było to rankiem, O czwartej godzinie - tak mi się przynajmniej wydaje, bo już widniało - usłyszałam taki mocny stuk w drzwi. Do naszego mieszkania wchodziło się z zewnątrz przez przedpokój i drzwi do pokoju. Potem był mały pokój, taki stołowy i sypialnia. Ja z dziećmi właśnie spałam w sypialni. I słyszę okropny stuk. Potem zorientowałam się, że to było uderzenie kolbą, taką mocną. Zerwałam się i podbiegłam do drzwi. Pytam - kto? Słyszę głos: "odkrojamie! My pieresiela- jem was ku mężu!" Dalej mówi - macie się spakować i w przeciągu godziny być gotowymi do wyjazdu. Ale jak ja usłyszałam te słowa: „pieresielajem was ku mężu” - to były dla mnie jakieś magiczne słowa. Ja przestałam wogóle myśleć, o tym co on dalej mówił. Ja myślałam tylko o tym, że "ku mężu", do męża! i jakby coś we mnie wstąpiło, jakaś ogromna energia. Skoczyłam do sypialni, pobudziłam dzieci, w tej chwili ich ubierałam, a tymczasem ci ludzie weszli, było ich dwóch, jeden został przy drzwiach z karabinem, a drugi wszedł za mną do pokoju sypialnego i powiedział, że on musi zrobić rewizję. Mnie to nawet nic nie obchodziło, że on będzie robił rewizję, ja ubierałam dzieci i ładowałam, tylko z tą myślą, że ja jadę do męża. I przez cały czas - przecież mogłam sobie zdać sprawę, że ja wyjeżdżam i trzeba było przygotować się, dzieciom śniadanie dać czy wziąć coś na drogę, a nie wzięłam nic. Ja nie pomyślałam o je-

dzeniu, ja nie pomyślałam o tym, że co trzeba wziąć praktycznego, spakowałam tylko te rzeczy, bo powiedział - możecie tylko to, co do ręki można wziąć, a resztę musicie zostawić. Później, jak się przekonałam w drodze, potrzebne mi było wiadro, potrzebna mi była miednica, no i jakieś pożywienie. Ja z tego wszystkiego nic nie^wzięłam. Myślałam tylko o tym, żeby swoje sukienki najlepsze wziąć, bo żeby się dobrze mężowi przedstawić. Wzięłam nawet żelazko do prasowania i takie rurki do zakręcania włosów, zamiast właśnie czy nocnika dla dzieci, dzieci były w wieku - siedem lat miał starszy, młodszy miał 5 lat. Jeżeli bym myślała o drodze, to wszystko to powinnam była zabrać, a przecież tego nie wzięłam. W pół godziny ja byłam gotowa. Tymczasem ten żołnierz, który wszedł za mną, robił rewizję. Więc powywał z szafy wszystko, znalazł tam szablę męża i mundur wyjściowy. W szufladzie miałam złożony stosik srebrnych pieniędzy, bo miałam papierowe banknoty na taki bilon. Przeliczył to i zabrał. Przeszedł do następnych pokoi, wszystko pospisywał i nawet nie dał mi do podpisu i dokładnie nie wiedziałam, co on zapisał, a co nie, co wziął. Jak się później zorientowałam mniej więcej wszystko było i część pieniędzy. Ponieważ mój mąż był amatorem- łącznikowcem i sam sobie majstrował radio, tzw. superheterodynę, więc miał całą skrzynię tych różnych narzędzi - to wszystko też spisał, no i to wszystko zostało. Ja byłam gotowa w pół godziny z dziećmi i czekałam później tłukąc się od okna do okna zamiast dzieciom dać jeść, czekałam na tę podwodę. Tak to się nazywało wtedy. Ale, tak przypuszczam, że sołtys w tej wsi współczuł mi i może specjalnie odwlekał ten wyjazd mój, bo długo nie przyjeżdżała furmanka. Dopiero - przypuszczam, że to była godzina między siódmą i ósmą kiedy podwoda zajechała i myśmy mieli wsiadać. Sądzę z tego, bo nie patrzyłam na zegarek, tylko z tego, że już była garstka dzieci przy szkole i kierownik szkoły, którzy mnie przyszli żegnać. Siadłam na wóz, zapakowałam dzieci i rzeczy i jeszcze popatrzyłam na dzieci i krzyknęłam: a kto będzie moją klasę egzaminował? Bo w tym czasie były egzaminy klas. Ale nikt się na to nie

odezwał, kierownik opuścił głowę. Nie wiem, czy spodziewał się tego, czy nie? Ruszyliśmy. Od mojej wioski, od tego Chocieszowa do Kamienia Koszyrskiego, czyli do stacji kolejowej było ze 16 km po piaszczystej drodze. Więc podróż trwała długo. Widziałam ludzi wychylających się z okien jak jechaliśmy przez wieś, szparami drzwi - widziałam - zaglądali, ale nikt nic nie mówił. Dojechaliśmy - też nie orientuję się, o której godzinie, do stacji kolejowej. Stał długi pociąg, tzw. eszelon, otworzyły się drzwi takie jak do szopy, podwójne, ciężkie drzwi. W środku wagon był pusty, jeszcze nikogo tam nie było, dzieci moje skoczyły, nawet radośnie, bo mogli odprężyć sobie nogi, które przez kilka godzin tej drogi (furmanką) im ścierpły, a ja stanęłam we drzwiach. Jakoś te drzwi - tak sobie dzisiaj przypominam - były zwrócone w stronę słońca, tak że świeciło - ja wiem, może to było południe - tak że świeciło słońce prosto w wagon, w drzwi. I ja tak popatrzyłam na to słońce, na ten blask i na żołnierza, który stał gotowy do zamknięcia tych drzwi i uśmiechnęłam się do niego i mówię: proszę nie zamykać jeszcze tych drzwi, niech słońce nam świeci. Ale nie mówiłam tego ze smutkiem, nie zdałam sobie sprawy w ogóle, co jest i co nas czeka ... A on odpowiedział: Ty bladź! To jest najgorsze przekleństwo jakie mogło być w tym czasie ... I zatrzasnął mi drzwi.

Wagon był długi, tak jak to wagony bydłące, ale były tam przygotowane - ja wiem - półki jakby szerokie, w połowie wysokości, wagon - można powiedzieć, był tak rozdzielony jakby na dwie części z jednej i z drugiej strony. Już nie zdaję sobie sprawy jak duża izba, duża - ja wiem - nawet 6 m długości, to były chyba nasze polskie jeszcze wagony, bo w Kamieniu Koszyrskim to były inne tory... No więc, wtedy dopiero jak drzwi się zamknęły, to mi się zrobiło jakoś groźnie ... Ale za chwilę otworzyły się znowu drzwi i już się nie zamykały. Wchodziły szeregi ludzi, gromady całe, wchodziły i zajmowały ... Moje dzieci od razu przy oknie przyczepiły się i tam już siedziały,

a tu stopniowo zapełniało się. Ja też obrałam sobie na tej półce jedno miejsce, przywołałam dzieci i patrzyłam co się dzieje. Ładowano ten pociąg aż do zmroku, ten wagon. Różni ludzie tam byli. Mogłam się zorientować, że tam byli różni ludzie, byli tam gajowi, bo nawet jeden znajomy z mojej wioski, nazywał się Osiński. Miał rodzinę ... miał troje dzieci i żonę. Też go widziałam. Później resztę osób - to już byli moi nieznajomi, nie wiem skąd. W każdym razie, jak się można było zorientować, byli to: drobna szlachta... policji tam nie widziałam na razie.

II str. l. taśmy

Od tego miejsca, jak wsiedliśmy, to pociąg gnał, pędził i nigdzie się nie zatrzymywał, w każdym razie nie mogę sobie przypomnieć jakiejś przystani. Wiem, tak jak z okien mógł ktoś coś zobaczyć, to na dłuższy postój zatrzymaliśmy się chyba w Świerdłowsku, przecież to na Uralu aż. I tam bardzo krótko... Jak długo trwała ta podróż - to nie mogę sobie dzisiaj przypomnieć. W każdym razie przejeżdżaliśmy przez Świerdłowsk i przez ogromny tunel, bo nagle zrobiło się ciemno i tak może 10 minut w tej ciemności, to tak domyślałam się, że to były tunele w Uralu. To był pierwszy etap. A później już wieźli nas bez przerwy, bez postoju, tylko codziennie rano na chwilę zatrzymywano ten pociąg w jakichś miejscach i pozwalano nam wyjść po wodę. I kiedy braliśmy wodę - tam były takie krany ... gorąca woda była... I mówi żołnierz do nas: "widzisz, tu masz kąpiatok, a twój sukinsyn Piłsudski nie zdiełał wam kąpiatku!" W dalszej drodze mieliśmy także podawane zupy gotowane. Też, w ten sam sposób, że zatrzymywano na takich miejscach, że nie było żadnych zabudowań, ale jeden budynek, gdzieśmy szły po zupę. I to szłyśmy grupkami i już tak jak byśmy się dobrały, poznajomiły i dobrały, w ten sposób szłyśmy po tę zupę i zawsze za nami szedł żołnierz z karabinem, pilnował. Jakie warunki były w wagonie? Straszne. (...) Blisko mojego leżyska, czy posłania była para staruszków, którzy nie mogli z tego pięterka - że się tak wyrażę - zejść. A dla zaspokojenia swoich potrzeb mieli

wiadro i tam się załatwiali i pociąg zawsze gnał, ogromnie szybko, no więc wagony kołatały i to wiadro pryskało na wszystkie strony. A dla pozostałych był zrobiony sedes na środku wagonu między dwiema połowami. To był z desek zrobiony taki, no sedes - jak to nazywać, ale bez żadnych osłon, więc myśmy się zorganizowały i zawsze szła jedna i dwie jej towarzyszyły z kocem, osłaniały. W ten sposób w ciągu miesiąca ... cały miesiąc trwała ta szaleńcza droga, to gnanie, z małymi chwilami przerwy najpierw po tę wodę, potem po zupę. W ten sposób, chyba po miesiącu, bo później była krótsza podróż, w ten sposób dojechaliśmy do stacji kolejowej Tajencza (?). To było już na Kazakstanie (w Kazachstanie). Tajencza, to była ostatnia stacja kolejowa i tutaj dano nam znać, że trzeba wysiadać, że czekają na nas samochody, które nas odwiozą do miejsc przeznaczenia. Ja się zaprzyjaźniłam z jedną kobietą, która miała jak ja dwoje dzieci, mniej więcej w tym samym wieku, tak o rok różnicy obydwaj, no i miała przy sobie staruszkę, bo ja wiem ... siedemdziesiąt lat. Była to Ślązaczka. I ta młoda, z którą się zaprzyjaźniłam, pochodziła ze Śląska i ta jej (...) teściowa. Okazało się, że ona była żoną policjanta (...) nazywał się jej mąż Zgrzędek. I ta jej teściowa (...) Okazało się, że ona była żoną policjanta (...). A ta staruszka właśnie, kiedy 1 września wybuchła wojna, więc już przedtem, obawiając się, ponieważ mieszkała na Śląsku, z namowy swojego syna przyjechała na Polesie do syna, żeby tu spędzić spokojnie, bezpiecznie czas. I właśnie tę Ślązaczkę, tę staruszkę, zabrano razem z tą synową. Jej mąż później zginął i nie było o nim wieści. Obydwieśmy się na tyle zaprzyjaźniły, że postanowiłyśmy razem wsiąść do jednego samochodu. Ale ona była o wiele roztropniejsza ode mnie. Podczas, gdy ja myślałam tylko o tym, żeby wziąć to co lepsze, żeby wyglądać przy mężu ładnie, to ona była praktyczniejsza, bo zabrała wszystkie potrzebne rzeczy, nawet dzieżę do ciasta, do pieczenia chleba zabrała, maszynę do szycia, miednice, garnki rozmaite. Nie wiem, może

mną to kierowało też? Że sobie ją wybrałam? A nie było tam nikogo takiego, który by mi przypadł do serca. No i przy tym, że miała tak samo dzieci, jak ja, małe. Więc zaczęliśmy wychodzić. Ja nie miałam wiele rzeczy - tam dwie walizki, tobół z pościelą i futra. Mężowe futro to już narzuciłam na siebie i kożuszek też, ale trzeba było jej pomóc. (...) Ponieważ nasyp kolejowy był bardzo wysoki, a samochód ciężarowy stał dużo na dole, tośmy zrzucały tak z wagonów i to wszystko toczyło się pod koła tego samochodu. Tu jakośmy sobie tam poładziły, windowałyśmy to na samochód, te jej rzeczy i trzeba było ulokować nas, ale to już w pace (skrzyni) nie było na to miejsca, to położyłam dzieci na walizkach, leżąc i sama też ległam, z tym, że jedną ręką trzymałam jedno dziecko, drugą - drugie, a sama się podpierałam nogami. Tak samo i ta koleżanka zrobiła. I ruszyli w drogę. (...) To był już Kazachstan. Droga stepowa. Nikt jej tam nie robił, tylko była ujeżdżona, tak sucha, że po prostu kłęby kurzu snuły się za tym samochodem. Mieli chyba rozkaz, żeby gnać, bo samochód jechał bardzo szybko, a myśmy tylko kołatały ze strachem, że albo jedno dziecko, albo drugie mi się wyrwie z ręki, albo sama spadnę. Wreszcie na chwilę przystanął ten samochód i myśmy zeszły, pozwolił nam - może miał dobre serce - ten kierowca - pozwolił nam zejść, zeszłyśmy i ja podeszłam do niego i prosiłam, żeby trochę zwolnił tempa, a on tak popatrzył na mnie i odezwał się w te słowa: ach kaka ty gr^usnaja, sawsiem nie pochażaja na panią. Przykro mi się zrobiło, odeszłam, ale chwilę śmy pochodzili tam, żeby rozprostować nogi, później już my się mogły jakoś spokojniej, lepiej usadowić i podróż trwała dalej. To rano śmy się wyładowywali, a na miejscu przyjechaliśmy chyba już po południu. W każdym razie samochód zajechał do tej wioski naszego przeznaczenia. Po środku (...) takiego pustego placu stał budynek drewniany i powiedziano nam, że to jest Sielsowiet, czyli rada wiejska, że tu możemy się zgłosić i tu nas spiszą czy zameldują. W międzyczasie, jak ten sa-

mochód podjechał, zaczęli się zbierać ludzie z wioski. A teraz naszą powieść o tej wiosce. Nazywała się ta wioska, do której nas zataszczono "Krasnaja polana". Była wśród stepów kazachstańskich, pustych i zasiedlona dopiero w 1936 r. Jak się dowiedziałam później od tych mieszkańców byli to Polacy (...) i Ukraińcy i Niemcy - małżeństwa takie mieszane. Oni zostali wysiedleni z terenów nadgranicznych. Przeważnie to była zaściankowa szlachta polska, no i chłopci, I jak się później dowiedziałam od innych (a wnoszę z tego, że to była szlachta po nazwiskach, bo tam były takie nazwiska jak Czarnecki, jak Bogusławski) zresztą sami mówili o tym kim są i co robili. W 1936 roku ich wysiedlono, to było w ciągu lata, mieli zabrać swój dobytek cały, wszystko, nie tak jak nas wysiedlano tylko z tym, co można było do ręki wziąć, ale ich wysiedlano z całym dobytkiem, więc mogli wziąć i swoje krowy i wozy. Wysiedlano ich po to, żeby tam zasiedlić te puste, kazachstańskie stepy. I tam ich przywieziono - jakmi później opowiadano - na goły, pusty step. I oni dostali też traktor. I ten traktor kopał (?) ziemię (...) i ci ludzie sami robili sobie samany (?) czyli takie cegły z gliny zmieszanej z plewą czy z trawą, już nie wiem dobrze, jak to było, i w ciągu września z tych samanów, mieli ich (je) ususzyć i z tego budowano domy. Z tym, że dostali jeszcze materiały: deski, okna gotowe i z tych materiałów pobudowano domy. Takie domy jednoizbowe, to raczej dwuizbowe, ale jedna izba dla jednej rodziny, a druga izba dla drugiej rodziny i także małe przedsionki, a także stajenki, bo krowy sobie przywieźli i przybudówki to robili sobie z darni i oblepiali gliną. I w ten sposób jak ich przywieźli na wiosnę, to do września mieli już gotowe domki i tam zamieszkali. Jaka ich dola była, to można sobie wyobrazić też, ale w czterdziestym roku już byli tam zżyci, bo 4 lata już mieszkali tam, już powstał kołchoz, już pracowali w kołchozie. I ci ludzie gromadzili się właśnie, żeby nas oglądać. Ale nie tylko dlatego, żeby nas oglądać, oni po pro-

stu zaproponowali nam, żebyśmy do nich przyszedli na mieszkanie. I co ciekawe, że jednak spoglądano na walizki, gdzie więcej było pakunków i walizek - tam pierwsze zgłaszano się i zabierano tych ludzi. I w ten sposób pozabierano nas. No, błogosławię tych ludzi dzisiaj, bo nie wiem jaki (by los nas czekał) gdyby ci ludzie nas nie zabrali do swych izb, bo wszędzie rodzina miała tylko jedną izbę. Ja dostałam się z dziećmi do rodziny takiej mieszanej - był to Niemiec z pochodzenia, co znaczy z pochodzenia? - Niemiec i Ukrainka. Ale ludzie dobrzy, bardzo dobrzy, tylko biedni. Mieli córeczkę taką równą mojemu starszemu synkowi, czyli 6 letnią Kasię. Zabrali nas, ja nie miałam zbyt wiele rzeczy, ale zawsze na coś mogli liczyć. I ofiarowali nam swoje łóżko a Kasia, ich córeczka (...) odtąd spała na piecu. A myśmy właśnie - ja z dwojgiem dzieci na tym łóżku. Pościel miałam swoją. Jak ten pierwszy rok mi przeszedł, to ja sobie poprostu nawet sprawy nie zdaję. (Parę miesięcy) chyba także byłam na ich utrzymaniu, bo zanim się za czym oglądnęłam, zdo- byłam ... Ale jak wyglądała wieś. No pięknie wyglądała ta wieś można powiedzieć. Przed każdą chatą były stopy (...), zboża, pszenicy, przepięknej, tak zsypanej na czystą ziemię, ja wiem - wysoko na 2 metry taki stożek. I drugi stożek prosa (...). No więc nas jakaś radość ogarnęła poprostu na takie bogactwo. Ale to się szybko skończyło. W 41 roku, kiedy wybuchła wojna niemiecko-radziecka tak jakby wymiótł. Samochód za samochodem z Omska przyjeżdżały i to wszystko rozkupili. Pusto zostało. Zdawało się nam jak myśmy przyjechali, że tam głodu nie będzie, ale to krótka radość. Naprawdę nastąpiła nędza. Napisałam do męża żeby się nie martwił, że ja sobie radę dam. I tak postanowiłam - tej rodzinie, która mnie przygarnęła musiałam czymś zapłacić. Wzięłam ze sobą kilka porządnych ubrań męzkowskich, no i swoje rzeczy i proponowałam jedno ubranie temu gospodarzowi, ale on nie przyjął, mówi: to za ładne i za drogie będzie. A starych rzeczy nie wzięłam, dlatego, że które tam starsze były już ubrania, zostawiało się albo na Krościenku wyjeżdżając do

Krosna, albo też na strych się wynosiło. I kiedy wysłałam tego ważnego przed wyjazdem na strych po takie rzeczy, które mogą mi się przydać, okazało się, że tam już nic nie ma. Więc albo skłamał przede mną chcąc sobie to zabrać, albo rzeczywiście przedtem już uprzątnął. Tak że nie miałam starszych, tańszych rzeczy, więc widziałam, że bielizny brak tym ludziom, bo nie mieli, na prawdę nie mieli w czym chodzić i czym się okrywać. Więc dałam kilka prześcieradeł i w ten sposób się z nimi rozliczyłam. Opróżnił się (...) w jakiś sposób dom wolny, więc z tą moją znajomą postanowiłyśmy zamieszkać razem, osobno w takiej jednej izbie (każda). Dostałyśmy te izby, obieliko się, ta moja przyjaciółka była taka praktyczna, postarała się o glinę białą, a pędzle to się robiło ze słomy prosa. Wybieliło się, ten tok, czyli podłogę malowało się - przepraszam za wyrażenie - ale łajnem. Taki tam był zwyczaj, że aby ochronić się przed pchłami (...) to się smarowało te podłogi takim rozpuszczonymi krowimi odchodami. To wysychało i niweczyło te wszystkie insekty. I brakło nam szyb w oknach. To były okienka takie sześcioszybowe, ale były tylko po 2 szybki w każdym oknie, no i co było robić, rozmieszało się glinę i zrobiło się szyby z gliny, po proszu zakleiko się. Tak że nam zostało po 2 szybki w każdym oknie (...) A świecić - tośmy wyprosiły u traktorzysty nafty i miałyśmy kaganki. Była to buteleczka z taką skórką w szyjce i z nici knot. I przy tym, nie wiem w jaki sposób, żeśmy to i mieszkały przy tym i świeciły i szyły! Przecież ja później uszyłam dla swojego synka, który rósł, wyrastał z płaszczyka, jak się później okaże, z UNRRy, z koca unrowskiego cały płaszczyk i to przy tym świetle. W dzień się nie szyło. Robiło się na drutach jakieś tam sweterki dla dzieci, pończochy, skarpetki przy tym świetle. A jeśli chodzi o zimę - potem jeszcze wrócę do pracy mojej, a tymczasem o warunkach mieszkaniowych, więc zimy tam były bardzo ostre i trwały od września, kiedy padał śnieg, do maja, kiedy schodził. Mrozy dochodziły do 40° C i ogromne wichury, a w lecie znowu były gorąca ogromne, tak że bosą stopą nie można było

stanąć na piśaku, bo parzył. Te szybki zamarzały zupełnie, można było nawet na wodę uskrobać sobie trochę lodu, a wiadomo - ściany były z gliny, więc także w te mrozy przychodził mróz i na ścianach był - można powiedzieć - dwucentymetrowy (szron)...

Myśmy co dnia musiały trochę zdrapywać. I dziś sobie nie wyobrażam - miałyśmy w tej izbie dwa posłania, raczej trzy, bo jedno posłanie to było moje z dwojgiem dzieci, drugie posłanie tej mojej przyjaciółki, no i trzecie posłanie tej staruszki, babuni. To tak wzdłuż. A w szerz przy oknie stała ta podstawa od maszyny, bo - jak mówiłam - przywiozła sobie maszynę do szycia taką nożną i to było za stół. I tylko pół metra przejścia a może nawet i pół metra nie było. A żeby było na czym siedzieć, to każda na łóżku miała jakiś tam siennik i (...) bo o drzewo tam było bardzo trudno (...) gdzieś się wykołatało deskę i tę deskę kładło się przed tą pościelą i w ten sposób można było siadać. (...) Czym się paliło? No więc był piec, taki chlebowy, któregośmy ostatecznie nie używały, o ile sobie przypominam tośmy raz upiekły chleb, bo dzieża była i słomę można było ... Razem śmy chleb ^upiekły, a później to się piekło tylko takie placki. No przy piecu to była taka mała kuchenka z jedną blachą i z tymi fajerkami, no to paliło się słomą (...) słonecznikową, pszenną i kiziakami. O kiziaku to jeszcze powiem. Były to odchody bydłące, które na tym stepie ... takie placki, które na tym stepie zupełnie wyschły. Już później trochę to miałam pomoc z dzieci, bo u dobrego człowieka dostawaliśmy wózek, a chłopcy chodzili i ten nawóz, ten tzw. kiziak zbierali. A poza tym ludzie robili sobie takie cegiełki z tego kiziak, z tych odchodów bydłących, bo każdy miał tam krowę i to się mieszało z wodą, udeptywało tak jak na cegłę, takie formy wielkości cegły suszyło się na słońcu i tym się paliło. Warunki okropne mieszkaniowe, do dzisiaj nie mogę sobie przypomnieć i zdać sprawy jak można było wytrzymać. W miarę, jak się tam mieszkało, trzeba było żyć, no więc powoli się - pieniądze nie szedł zresztą - pieniędzy nie było, więc ^azmieniało się, za żywność

trzeba było dać coś z odzieży, więc z bielizny, z odzieży stopniowo ubywało i tej bielizny i tej odzieży i w końcu została mi jedna poduszka, chociaż wzięłam 2 poduszki i dwie kołdry. Została mi jedna poduszka i jedna kołdra, która nie miała koperty z czasem, więc trzeba było spać tylko pod tą kołdrą we troje. Dzisiaj (na śmiechu) się mówi, że "za krótka kołdra" - kiedy nam brak pieniędzy, a tam musiało nam wystarczyć. Więc jeden synek spał obok mnie, a drugi w nogach naszych. I tak pod jedną kołderką i prawie że na tych deskach, bo co tam ta słoma się w końcu starła, jakosmy przeżywali. Ale wracam do pracy. Jak już powiedziałam, napisałam mężowi, żeby się nie martwił, bo ja sobie radę dam. No więc zgłosiłam się do kołchozu do pracy, bo sobie radę dam! Ale ja, choć pochodzę ze wsi, to w domu najwyżej pasalam krowy, ale nigdy nie robiłam w polu, nie byłam więc do tej pracy zaprawiona (...). Jak się chce - to się musi. Zaciągnęłam (?) się do jednej gromadki, grupy (...) do pracy w polu. To była "łanka". Łanka się nazywała, czyli grupa kobiet. Tam była przewodniczka i kilka kobiet - ja wiem - 5 - 6 kobiet. I szłyśmy od razu - to była pora plewienia słonecznika, tam były plantacje słoneczników. Słonecznik na plantacji był siany w rzędach, rząd od rzędu - 20 cm i zadaniem tych pracownic było wyplewić ścieżki między rzędami i motyką wyrębać ten słonecznik pozostawiając tylko jeden. No więc szłam z początku ze wszystkimi razem, a potem widzę, że zostaję w tyle, tak zaczęłam motykę posuwać coraz dalej, nie wiedząc o tym, że trawę zostawiam. I doszłam z nimi już do końca jak nieżywa, rzuciłam się na plecy, bo już nie mogłam kręgosłupa wyprostować. I przyszedł (...) kontroler - że tak się wyrażę i zaczął nogami szurać, czy dobrze jest wyplewiona trawa. I w moim rzędzie była wszędzie trawa. I musiałam to porawiać. No więc stwierdziłam, że ja do tej pracy się nie nadaję, jeszcze przez kilka dni chodziłam, ale w końcu już nie mogłam. Ale znalazł się człowiek, który nam dopomógł. Był tam Polak, nazywał się Jopik - nazwisko - Polak, rodowity Polak

i on miał tam urząd (...) zarządzającego spichlerzami, a w spichlerzach była pszenica złożona. Nadszedł już okres wojny, ten pierwszy rok tak przepracowałam jakoś w tym kołchozie z biedą. Ale rok wojny się zaczął i trzeba było zboże wieźć dla wojska. No, ale to zboże złożone w tych spichrzach trzeba było przerzucać łopatami. Bo tam nie było tych urządzeń wentylacyjnych, tylko robotnice szły i łopatami przerzucały te warstwy zboża. No więc ten człowiek, ponieważ trzeba było jemu robotnic, poznał się z nami i wybrał spośród nas cztery, tak, cztery kobiety: mnie, to znaczy tę moją sąsiadkę, bo to jakoś za jej wstawiennictwem nam się jakoś udało i (jeszcze dwie) młode dziewczyny. I myśmy codziennie chodziły do tej pracy, praca nie była zbyt ciężka, a w dodatku to był człowiek opatrnościowy. Kiedyśmy się zbierały do odejścia odwracał się dyskretnie, a myśmy ładowały tę pszenicę w cholewy u walonek i za pazuchę. I w ten sposób mogłam codziennie przynieść kilka kg pszenicy do domu. Ale to jeszcze nie takie proste, bo na drodze stała kontrol. Tak za kilogram pszenicy, jeżeli złapano, że ktoś zabrał, pięć lat więzienia groziło. Więc prosiłam się wyobrazić jaki strach towarzyszył nam w czasie całej drogi. Jednak ci kontrolerzy mieli troszkę respekt przed Polkami i omijali nas z daleka, albo też współdziałali z nami, prawdopodobnie, albo nas żalowali. W ten sposób przeżyłam rok. Można powiedzieć, że w cudowny, opatrnościowy sposób, tego człowieka do dzisiaj błogosławię. Ale natura człowieka jest zawsze nie najlepsza. Jednego dnia spóźniłam się do pracy. Znaczący wszystkie się już zgromadziły, a ja przyszłam może pół godziny później, coś mnie zatrzymało. I ten człowiek tak dobry zawsze uniósł się i powiedział mi kilka przykrych słów na temat tego mojego spóźnienia się i nieobowiązkowości. Wysłuchałam, dumnie podniosłam głowę, wykręciłam się na pięcie i odeszłam. Skończyła się moja praca. Ile razy on przychodził, to nie można zliczyć, przeproszał, przez tę moją sąsiadkę prosił, nie pozwolił mi mój honor wrócić. Ale znalazłam inny sposób. Było lato, było po żniwach i dzieci już były pod-

rosłe, to był już trzeci rok pobytu tam, worki jakieś miałam, szłyśmy na zżęte pola, szłam z tymi dzieciakami i zbieraliśmy kłosa. I w ten sposób kłosa ... kombajnami była koszona pszenica i zawsze były zakola pozostawiane. U gospodarzy dbających o zboże, czyli o ten majątek, to szło się z kosami i kosiło. A w kołchozie to zostawało. Nikt o to nie dbał. Więc myśmy, ja z tymi dzieciakami zbierałam te kłosa, zawsze myślałam o tym - jak Ruth biblijna chodzę na kłosa. Ale potrafiłam uzbierać po worku - ja worek, dzieci worek i w domu takim kijem się młóciło. Ziemia była twarda jak najlepszy tok. Ja 3 kwintale pszenicy uzbierałam z tych kłosów tak że wystarczyło mi na cały rok przeżycia, mogłam w domu być. A co z tą pszenicą? Pszenicą się przecież nikt nie naje. Trzeba mieć mąkę. No więc sąsiadka była, tam zresztą wszyscy tamtejsi ludzie mieli żarna, no więc z początku sama chodziłam do tych żaren, a potem już ten starszy synek mógł mi pomagać. Tak, że każda kwarta tej pszenicy, każdy kilogram musiały być zmielone. No ale pszenicą to jeszcze i mąka. Ta babunia, ją nazywali babunią, ta staruszka, teściowa mojej sąsiadki, przyjaciółki, zostawała w domu jak myśmy szły do pracy i ja ją uprosiła, że ona pomagała mojemu starszemu synkowi piec placki, pomagała mu. Ja rozczyniałam to ciasto, bo drożdże umiałyśmy sobie same zrobić, chmieł (?) tam można było dostać, rozczyniałam to ciasto, a potem za radami tej staruszki ten malec wymiesił i piekł te placuszki. A poza tym ona umiała świetny makaron robić bez jajka. Bo jak myśmy mełły w żarnach to się robił taki stożek mąki mielonej i ten grubszy grys, ta grubsza mąka opadała na spód, a z wierzchuśmy zbierali i to była taka bieluska mąka i na troszce mleka ta babunia robiła nam makarony. To było nasze pożywienie. W pierwszym i drugim roku nie miałyśmy ziemniaków, bo tam w tym kołchozie nie sadzono ziemniaków. Tośmy chodziły do sąsiednich wiosek. A jeszcze nie powiedziałam przedtem jak nas meldowano i zapisywano w Sielso-wiecie, to nam wydano taki rodzaj paszportów, w których było napi-

sane nazwisko, imię, data urodzenia, pochodzenie, zawód i miejsce pobytu i charakter tego pobytu. A więc było tam napisane: zakluczona na 5 lat (...) t.zn. zesłana i wolno poruszać się w obrębie (promieniu) 5 km. Czyli to już oczywiste zesłanie. No, ale myśmy trochę omijały ten zakaz, nikt zresztą tam tego nie dochodził, chodziliśmy po wioskach, bo później z tej mąki pszennej i z tego jednolitego pożywienia dostałyśmy straszny skorbut, zęby ruszały się każdemu, ten starszy syn dostał takiego owrzodzenia, straszne owrzodzenia na piśladkach, nie było rady. Czosnek nam nie pomagał, choć go można było dostać, ale trzeba było koniecznie kapusty, a w tym kołchozie naszym, (...) w tej "Krasnej Polanie" też jarzyn żadnych nie sadzono ani ziemniaków tylko zboża i siano, więc do sąsiedniej wioski, w której mieszkali tzw. starożytnie. Dochodziłam tego, że to mogli być nawet kiedyś zesłańcy polscy, bo się mogli z nami doskonale porozumieć, ale nie doszliśmy z nimi do porozumienia, bo nigdy ich tam nie można było zastać, ani porozmawiać. I tam myśmy stamtąd przynosiły kapustę, ziemniaków trochę. (...) W trzecim, a może czwartym roku dano nam już pięcioarowe działki na stepie, a oprócz tego mogłyśmy wykorzystać także te podwórza przy domu: odległość między jedną chatą a drugą, i tam myśmy posadziły trochę ziemniaków i w polu na stepie też posadziłyśmy sobie wspólnie z nią, bo to na jeden dom, na jedno mieszkanie, pięć arów ziemniaków. Ale trzeba je było gdzieś przechować, pięknie się urodziły, no więc pod łózkami naszymi wykopałyśmy takie doły i tam miałyśmy piwniczki. Jeszcze wracając do zimy, do tych pór roku, to muszę jeszcze o tym powiedzieć, że kiedy śnieg schodził, to było w maju, więc słońce przygrzało i śnieg topniał raptownie i poprostu (robiła) się powódź, między domami były takie ulice, więc tymi ulicami szalała woda. I spływała gdzieś w dół, w doliny. Z czasem wyprzedalam wszystko czy nie wysprzedalam a wymieniłam, bo mogłam dostać trochę tej pszenicy, prawda tej mąki, ale trzeba było oprócz tego trochę mleka

mieć, więc na mleko, na trochę masła czasem trzeba było wymieniać. No więc wymieniłam wszystko co miałam z bielizny, sukienki no to zdarły się, bo słońce paliło nasze ubrania (...). W końcu nie zostało nic w co się (można) było ubrać. Buty - to byli tam dobrzy ludzie, tacy rzemieślnicy i robili nam takie drewniaki, a wierzchy - to z torebek, któreśmy miały. Tak że tam ^{tak} brakowało wszelkiej bielizny i odzienia, że ja np za kołnierzyki i chusteczki do nosa to mogłam dostać i masła i mleka, nie licząc już na jakieś inne ubrania czy bielizny. Ale wysprzedaliśmy wszystko. W 43 chyba roku przyszła pomoc z UNRRY. Były tam koce, buty, była margaryna, mleko skondensowane i to do podziaku. Rodzin było 22, polskich rodzin, w każdej rodzinie było trochę dzieci, ale już większych, w takim wieku dzieci jak moje niewiele było. Ale też w 43 roku powstał ZPP i nakaz, żeby w tych osiedlach, gdzie byli Polacy, żeby utworzyć im szkoły. No i zgłoszono też ten nakaz utworzenia szkoły dla Polaków w naszej wiosce. No ale kto miał uczyć? Ja byłam jedyną nauczycielką. Te moje współmieszkanki wiedziały o tym, no to powinnam uczyć. Dobrze, dostałam wezwanie z rejonu, żebym się zgłosiła, bo trzeba szkołę polską otworzyć. Do rejonu było 20 wiorst, a wiorsta to 75 m (1066,78 m) mniej niż kilometr, więc ja poszłam, ale żeby zajść, to trzeba było nocą iść. Zaszła mnie noc i śnieg i ja w tym stepie znalazłam się sama. A przy tym tam można było obserwować w takie pogodne dni fata morgany. I szłam i ciągle widziałam przed sobą wioskę jakąś i nie dochodziłam do niej. No ale doszłam do tego rejonu. Zgłosiłam się u tego - jak to go nazwać - urzędnika od oświaty i on mnie pyta, czy chcę uczyć. Ja mówię - tak, prosiły mnie o to matki. A jeszcze matki, ponieważ twierdziłam, że ja nie mogę się zająć tym nauczaniem, gdyż muszę chodzić do pracy, bo muszę przecież dzieci wyżywić, to kobiety się zobowiązały, że każda z nich da mi dziennie kwaterek pszenicy, żebym już nie musiała chodzić do pracy, tylko uczyć dzieci, uczyć w szkole. A tych dzieci - ja wiem - zebrałoby się może w różnym wieku tak na klasę prawdopodobnie ze dwadzieścioro by

się zebrało, tak sobie dzisiaj przypominam. Więc - czy ja chcę uczyć - pyta mnie ten "inspektor", że go tak nazwę. Tak. No, ale powiada - a podręczniki macie?. Mówię - nie mamy. A klasę macie? Nie mamy. No to gdzie będziecie uczyć? Ja mówię: jakoś się podzielimy ze szkołą tamtą. Szkoła była. Chyba nam w którychś godzinach szkoła odda. Ale nie macie klasy, nie macie podręczników, więc nie możecie nauki zaczynać. I na tym się skończyło. Ale jednak ja wróciłam, ale jednak jedna z matek, nie matek, bo to pani bezdzietna, zajęła się dziećmi. Wprawdzie nie nauczyła ich żadnego tam czytania, pisania, ale wyprowadzała ich tak na step, uczyła ich piosenek, tańców, była to pani Szczerbikowa, sama nie musiała chodzić do pracy, jej mąż i brat byli w Anglii i przysyłali jej stale nici, a ponieważ nici można było za każdą cebę sprzedać, bo ci ludzie potrzebowali tych nitek, więc jej to wystarczało na utrzymanie, za sprzedaż tych nici, tak że mogła się tymi dziećmi zająć. A poza tym miała chorą wątrobę, nie mogła pracować, a tym się chętnie zajęła (...) Dzieci chodziły do rosyjskiej szkoły, uczył, w tej szkole był kierownikiem Koreańczyk, tak, i dosyć się im to podobało. Po polsku nauczyłam tego starszego pisać, uczyłam go na książeczce pekaowskiej (...) trochę już litery znał i tak go uczyłam na tej książeczce pisania. I uczyłam go też czytać na Krzyżakach, ponieważ tekst tych Krzyżaków zabrałam ze sobą (...) i na tej książce trochę czytał, uczył się czytać. A młodszy wcale nie umiał, bo taki był jakiś dziwny, że polubił tę szkołę tam się uczył dobrze, a w domu i ja nie miałam czasu, i on nie chciał się zabrać do nauki, tak że jemu nie dałam żadnych podstaw. Dopiero tutaj jakeśmy wrócili, to ten poszedł do 6 klasy na podstawie tamtego świadectwa, a młodszy do 5 bez żadnego przygotowania i musiał się tak męczyć, z tym, że w domu go tak trochę poduczałam.

Jeśli chodzi o podział tej żywności, tej UNRRY, to ja dzieliłam, bo mnie wybrały kobiety, jakoś miałam trochę autorytetu, wybrały

mnie do podziaku. Więc dzieliłam dosyć sprawiedliwie, tak że miałyśmy po parę (?) butów dla starszych, po kocu na każdą rodzinę, trochę mleka skondensowanego i margarynę. A jeszcze inny zarobek jaki miałam - była tam taka rodzina, nazywali się Boczkowscy, oni nam zawsze pożyczali wózek do zbierania tego nawozu. I też, wiedząc, że jestem nauczycielką zaprosili mnie w jedną niedzielę do domu i prosili, żebym im czytała z książki do nabożeństwa. Oglądnęłam tę książkę, to była książeczka wydana w 1912 r. Były tam przepiękne modlitwy, a ponieważ ja sama się wzruszam, czytałam im te modlitwy i płakaliśmy wszyscy i ja, i oni. Po tym oni nas częstowali sutym obiadem, mnie i moje dzieci i tak było co niedzielę prawie. Zapraszali mnie do czytania. Ludzie ci nie mieli kościoła, nie mieli styczności z księżmi, a jednak tego pragnęli. A jeden tych mieszkających tam ludzi, to przychodził specjalnie do mnie i prosił żebym mu opowiadała historię Polski. Czyli, sądząc z tego, trzeba sobie zdać sprawę, że jednak chcieli i myśleli o Polsce i kiedy przyszło później wracać - to wielu z nich chciało wrócić. Jedna z tych naszych Polek, z tych zesłanek, wyszła za mąż (...) tak jak tam wychodziły za mąż, po prostu żyła z tym człowiekiem - traktorzystą. I urodziło im się dziecko. No i ona mu przyrzekła, że go zabierze do Polski. I ile robiła starania, bo było nawet obiecane, przecież ci, którzy i w wojsku będą służyć pójdą do tych Kościuszkowców, to będą mogli wrócić do Polski i Skibicka niejaka była też w tej armii, jednak nie puścili tego Boczkowskiego, nie mógł wyjechać, ona powróciła sama (...) (Autorka bała się iść do Armii Andersa)

Kupić za pieniądze nigdy nic nie można było, nie mieliśmy mydła. W czym się prało? Więc robiliśmy popiół ze słonecznika. Paliło się słonecznik i z tego popiołu robiło się żug i w tym żugu się prało. Niektóre kobiety sobie pofarbowały pościel, prześcieradła i te powłoczki na kolor jakiś granatowy, jaką tam farbę dostały, a reszta no to tak prała i to było wszystko szare. Tam był sklep, czyli tzw. ławka, od czasu do czasu przywozili do tego sklepu jakiś towar tro-

chę mydła i herbatę prasowaną (...) Za taką herbatę prasowaną można było dostać drzewa. Przyjeżdżali od czasu do czasu Kirgizi, z jakiej odległości to pojęcia nawet nie mam, w każdym razie przyjeżdżali. Mieli takie małe koniki i jeden czy dwa takie kije, pnie brzozowe przywozili i mieniali to z nami za herbatę. Jeżeli się udało dostać w sklepie taką herbatę, to można było kawałek drzewa u nich wymienić. No więc po to mydło trzeba było stanąć w kolejce. Stanęliśmy z wieczora, myśmy się w takich dwóch gromadach grupowały, z jednego końca wsi była część naszej Polonii, a z drugiego końca była druga część (...) No więc stanęliśmy wieczór w tej kolejce, było nas chyba 5 osób, które chodziły tam razem do pracy, (...) czekaliśmy do rana. Rano przyszli miejscowi, wypchnęli nas na koniec (...) i bez tego mydła śmy zostały. W paczkach unrowskich mydło nie przychodziło. Można też powiedzieć, że myśmy się przez 6 lat nie myły, woda w studniach była zupełnie słona, tak że do gotowania to nawet nie trzeba było solić, studnia była odległa o jakieś 100 metrów i (wody) nie było w czym trzymać i jak się to wiadro przyniosło, to po prostu na mycie już nie starczyło, tylko trzeba było na gotowanie i tak przez 6 lat - nieraz docinam synowi mojemu, że ja się 6 lat nie myłam.

(Czasami) nadchodziła taka gwałtowna wichura, to było straszne przeżycie, zdawało się, że nas porwie.

A jeszcze opowiem jeden epizod, jak to było z tym głodem. Głodny człowiek był zawsze, moje dzieci chodziły takie głodne, a przecież ja, no kradłam to zboże. Ale dzieci postanowiłam wychować tak, żeby nie wiedziały nic o kradzieży, by same nie brały czynnego udziału. I ten starszy synek, a on nie wiedział o tym, że ja nie chcę, żeby on kradł i jak to chłopak, tam gdzieś dobiegł do takiego woźnicy, który wiózł pszenicę i czapkę pszenicy nabrał. I przyniósł mi z taką radością do domu, no a ja mu kazałam odnieść, a to

nie możliwe już było, ale wtedy dostał ten Andrzej bicie. Nie będziesz złodziejem! A innym razem - były t.zw. zimą bur^ępany, czyli burze śnieżne. Chłopcy chodzili do szkoły, moi dwaj, bo jej dwaj młodsi nie chodzili, nie posyłała ich. Szli ze szkoły, no i droga zawiana, zabłądzili ... Wieczór - dzieci nie ma. Dopierośmy poszły obydwie szukać. Ktoś nam tam jeszcze pomógł, znaleźliśmy ich, już - tam był szpital co prawda - zdążali do tego szpitala. Zupełnie światła nie było widać, zupełnie zamiotło drogę (...) A jednej nocy nas znowu zawiało w ten sposób, że śnieg nam przysypał drzwi, a drzwi się otwierały na zewnątrz, za ścianą mieszkała kobieta, z którą mogłyśmy się skontaktować, ona nie słyszała, jak my pukały do niej i trzeba było jakoś te drzwi otworzyć, żeby wyjść. No więc w tym przedsiönku było takie małe okienko, ale ponieważ bez szyb było, więc myśmy je zalepiły błotem, gliną, odlepiliśmy to okno i tego mojego starszego chłopczynę wypychamy, a wiatr go pcha z powrotem. Ile rozpaczy było, jak płakał (...) przemocą żeśmy go wypchnęły, przebiegł dokoła domu jakoś i do tej kobiety i odkopała nas. Mogło nas zupełnie zadusić. Znowu dachy w tych domach to były tylko deski przykryte ... po prostu sufit to był równocześnie dachem. Na tych deskach sufitowych była położona glina i na tym koniec. Jak sucho było - to w porządku, nie przeciekało, ale jak zaczął padać deszcz ulewny, co się tam zdarzało, to wtedy ta glina rozmokła i lało się do domu zupełnie. Tak, że nie było różnicy czy to w domu, czy na dworze. Tak było mokro w tych chatkach. Kto tam był taki bardziej przedsiębiorczy to w jakiś sposób czy ze słomy (...) czy snopki sobie jakies nakładali, ale my, myśmy sobie tego nie mogły zrobić, więc nam lało się kiedy był potężny deszcz.

Wreszcie przyszedł dzień, kiedy nam dano znać, że będziemy wracać. Było to w lutym 1946 r. jak nas zawiadomiono. A jeszcze o jednym. W 1943 roku, nie pamiętam, w którym miesiącu, zawiadomiono nas,

żeby zgłosić się do Sielsowietu, do urzędu w sprawie obywatelstwa. I tu oświadczone nam, że jesteśmy obywatelami radzieckimi. I że musimy się na to zgodzić. Wiedziałyśmy już przedtem, że to ma nastąpić i słyszałyśmy, że kto się nie zgodził ten został uwięziony. Tak bez oporu też musiałyśmy przyjąć ten nakaz. Poza tym wiedziałyśmy już, miałyśmy przynajmniej nadzieję, dostawałyśmy takie listy z kraju, że czerwony byk z brązowym bykiem się zejda i nastąpi kres. Ta nadzieja nam przyświecała. Więc z lekkim sercem mogłyśmy przyjąć to narzucane nam obywatelstwo. Jak to się odbywało. Pytano nas (...) dane personalne: imię, nazwisko, data urodzenia, pochodzenie. I kiedy przyszło do mojego pochodzenia - odpowiedziałam - pochodzenie chłopskie. Zawód - odpowiedziałam - nauczycielka, a urzędnik do mnie mówi: wriosz! kłamiesz! Jak w Polsce ktoś, kto ze wsi pochodził mógł zostać nauczycielem. No więc takie mieli pojęcie o Polsce. No więc zostałyśmy zmuszone do przyjęcia tego obywatelstwa, dostałyśmy takie jakby dowody osobiste, jakieś paszporty i czekałyśmy nadal co nastąpi. Już więcej wtedy żyliśmy nadzieją powrotu. Już jakieś wiadomości przychodziły. I wreszcie przyszedł ten rok, kiedy doniesiono nam, że będziemy repatriowane. Kołchoz miał nakaz rozliczenia się z nami. No więc pracowałyśmy przez 6 lat dla kołchozu, bo obojętne czyśmy pracowały w polu czy w zbożu, przy przewietrzaniu zboża, tośmy pracowały dla kołchozu. Więc oni przecież nam nie płacili zupełnie, a teraz trzeba było się z nami rozliczyć, taki dostali nakaz. No więc wezwali nas z tą moją sąsiadką do tego Sielsowietu i : my wam chcemy zapłacić. Proszę bardzo. To my wam damy barana. No trudno, mówi się, dobry i baran. Dostałyśmy tę owieczkę, przez miesiąc możeśmy ją trzymały, pasły a później się ją zabiło i miałyśmy mięso na drogę. To już było przed samym wyjazdem (...). } Jeszcze chciałam powiedzieć, że w czasie pobytu upiekłyśmy raz chleb, to jeszcze muszę powiedzieć. Moja przyjaciółka, sąsiad-

ka miała dzieżę, mąkiśmy uzbierały trochę i ona po gospodarsku ten chleb zamiesiła i upiekłyśmy. Słomą paliło się w tym piecu, w ten sposób, żeśmy sobie pożyczły, to kociuba się nazywa, takiego pogrzebacza na kiju drewnianym. Z jednej strony ogrzewało się słomą, potem z drugiej strony, tak że jakoś ten piec się nagrzał. Zrobiłyśmy 6 bochenków chleba - 3 dla mnie, 3 dla niej. Z jednej strony był chleb dla niej, z drugiej strony dla mnie. I pięknie się upiekł na tej słomie, jak wyjęliśmy, tyle radości, całowałyśmy ten chleb, dzieci podskakiwały, to było takie wielkie święto. I trzeba było ten chleb oszczędzać, żeby jak najdłużej. No więc szafy żadnej nie było, piwniczki, bo to było z początku, jeszcześmy tych piwnic nie miały, poustawiałam te trzy swoje chlebki na tej framudze, parapecie okiennym i jak mówiłam już - moi synkowie spalili jeden wzdłuż mnie, ze mną, a drugi w nogach i temu drugiemu, który w nogach spał, było blisko do tego chleba, bo kółko dotykało do chleba, pachniał mu całą noc ten chleb, i to dziecko, czy się obudziło, czy czekało aż my zaśniemy, ja budzę się, a on siedzi i skubie ten chleb i zajada. No, co było robić, wyrwałam mu ten chleb .. (...) Potem placuszki piekłyśmy z grysu, chmielu i dostawaliśmy od kobiet tego zaczynu drożdżowego, więc się mieszało ten chmiel z tym grysem i suszyło się (...) ^{opowienie} (no jedzeniu - zalewajka - ziemniaki z kwaśnym mlekiem). Kołchoz miał hodowlę koni, krów i owiec i mieli kosiarkę, mieli te stepy rozległe, kosili. Myśmy też jedno lato pracowały przy tym sianie, no tośmy trochę można powiedzieć użyłyśmy ~~się~~ porozbierały i opalały się, grabiły to siano, bo same Polki przyjęli do tego siana, bo inne kobiety przy czym innym pracowały. Więc to był taki błysk radości. Jużemy sobie przy tym sianie po powietrzu pochodziły. Popracowały - ale - prawda - z przyjemnością. Siano, trawa stepowa to ma to do siebie, że nie ma wilgoci zupełnie. To skoszone siano, trawę skoszoną od razu się

w takie ogromne stogi jak ten pokój stawia, ubite i w zimie to dopiero zwożą do tych stajni, do tych obór, a w lecie tego nie ruszają. A jeszcze inna praca w zimie to zatrzymywanie śniegu. Po prostu wiatry wieją takie silne, że śnieg, który upadł na te pola, gdzie nadawały się pod siew, to zdzierał, a po tym, ponieważ nie było deszczu, bo wtedy się rodiło, jak deszcz w lecie upadł, a nie zawsze deszcz upadł, były lata zupełnie suche i nie było urodzaju. Żeby tego śniegu wiatr nie zwał szły "ławki" czyli grupy kobiet na step i zatrzymywały śnieg, to znaczy nie stanęły i trzymały, żeby śnieg się na nich oparł, tylko kostki śniegu, bo to był taki stwardniały śnieg. Krajało się te kostki, łak to robią na domki, na te igloo i stawiało się takie na metr szerokie, na metr wysokie słupki z tych kostek śniegowych, tak gęsto po całym polu się to kładło i śnieg się przy tym zatrzymywał i nie schodził, tak, że na wiosnę ten śnieg stopił się i użyźnił (nawilżył) prawda tę ziemię. Dlatego, że tam ozimin nie siano tylko jare zboże, a i to mieli gatunki, to trzeba przyznać, świetne gatunki różnych pszenic, zbóż, tak że rodiły pięknie, ~~tu nie widziałam~~ nie widziałam w swoim gospodarstwie u rodziców takiego pięknego ziarna. Posieli, w czerwcu siano, to był siew w czerwcu, we wrześniu musiało być już sprzątnięte z pola. Młóciło się kombajnami. Jeszcze ja miałam taki okres, że chodziłam do kołchozu na młóckę. Ponieważ pola były też zachwaszczone, bo te kombajny w zimie już młóciły. Jak zdążyli w lecie skosić i wymłócić to dobrze, ale nie zawsze zdążyli. 2000 ha miał ten kołchoz, więc zostawało zboże w stogach na polu i później się ustawiało kombajn tak jak młockarnię i tam się ludzie schodzili i młócili. Zboże było zachwaszczone, ta pszenica, więc ja tam pracowałam i wybierałam sobie wszystkie osty i robiłam sobie taką wiązki, żeby wziąć do domu i mieć do palenia suche. Zbierałam sobie tę wiązki, a tymczasem motor stanął, bo zamrzła woda, trzeba było rozgrzać. I pszenicy nie zapalą, żeby rozgrzać ten motor, a widzą moją wiązki ostów uzbieraną. Idzie i

bierze mi tę wiązki ... Ja mówię: nie dam! ja sobie nazbierałam!
A ty bladź! Znowu mnie drugi raz spotkała ta bladź. I wziął i spa-
lił mi tę wiązki. Poza tym kiziaki, jak już mówiłam, to dzieci zbiera-
ły w lecie słoneczniki - słomy też mogłyśmy sobie przynieść. A
jeszcze chodziłyśmy we dwie po tę słomę, jak leżała na stepach, bo
trochę zabrali, trochę zostawili, więc chodziłyśmy i zgrabywałyśmy
tę słomę, wiązały i na plecy i niosło się do domu. Ta moja Ślżaczka
była zawsze silniejsza i tak mocniej zbudowana, taka pleczysta, o
takich silnych nogach, a ja, ja byłam trochę może, no że tak powiem,
słabsza. I ona nawiązała taką wiązkę, kładła się na plecy i na kolana
i wstawiała z tą wiązką. A ja sobie zawiązałam mniejszą wiązkę, nie
dlatego żebym nie chciała, tylko ja po prostu nie byłam do tego ta-
ka sprawna. Uwiązałam sobie mniejszą i idziemy. Ona idzie zgięta pod
tą swoją wiązką, a ja wyprostowana, lekko. Popatrzyła na mnie i mó-
wi tak: wzięła jak sroka na ogon i niesie! No więc odtąd już nie
chodziłam po tę słomę z nią, bo się trochę obraziłam. Przy tym wie-
działam, że ma rację. A poza tym jeszcze chodziłyśmy po te słonecz-
niki. Plantacja słoneczników była ogromna i tak - kombajnami ścina-
li główki, a te łodygi zostawały, Śniegu było głęboko na pół metra,
tam na te pola napadał, a te pół metra drugie czy nawet metr, za-
leży jak się tam urodził ten słonecznik, sterczało. Trzeba było iść
po tym śniegu, dobrze było chodzić, bo twarde, łamać te łodygi,
wiązać i nieść do domu. No, nadzieja, że jakoś się ogrzeje ten dom.
Ale były takie miejsca, jakieś cieplejsze, że śnieg się zapadał.
Ja miałam walonki, to takie wełniane (wojłokowe ?) buty z cholewa-
mi, podeszwa twarda była. Jedne walonki miałam z wełny, którą sobie
przywiozłam z Polesia, z domu, kupiłam i miałam, i zrobił mi tam ta-
ki majster, a drugie walonki, bo te się zdarły, to sobie kupiłam,
ale za co? Uzbierałam, oszczędziłam mąki, poszłyśmy na targ, na
targowisko (...) i tam wymieniłam uzbieraną mąkę, to pewnie z 5 kg

miałam, na walonki. I odtąd miałam w czym chodzić, i w zimie po opak, i to była wielka radość dla mnie. Ale chcę powiedzieć właśnie: szło się po tym śniegu w tych walonkach. Ale były miejsca, że się człowiek zapadł (...). Co wtedy robić? Śniegu się nasypało do butów. No ale trudno, nie siądę na śniegu i nie wytrzępię, tylko idę dalej, a ten śnieg mi się znowu sypie. I dlaczego ja mam chore nogi? O tutaj, o - się osadzał, a mnie tak nogi dotąd bolą. W domu się przychodziło i wysypywało ten śnieg, skarpety śmy miały wełniane, bośmy sobie tam porobiły. Ale chcę jeszcze opowiedzieć jakąśmy miały wigilię. Nie pierwszą, nie wiem, bo pierwszej nie pamiętam, musiałam ją mieć z tymi moimi sąsiadami. A oni - jedna była Ukrainka, drugi był Niemiec, może nie mieli wigilii, bo jej sobie zupełnie nie przypominam. Ale jak już byliśmy na własnym mieszkaniu tośmy sobie urządziły wigilię. Była tam wśród tych naszych dziewczyn, tych kobiet, taka dzielna dziewczyna Wanda Błocka (?) się nazywała. Chodziła z nami do tej pracy tam do tych śpichlerzy i ona kombinowała. Przyszła wigilia to przygotowała i dostała buraków (...), jakiś gatunek buraków (...), ugotowała, upiekła taki makowiec, ale z burakami i przyniosła nam do domu i miałyśmy oprócz tej zalewajki (z kartofli i zsiadłego mleka) miałyśmy jeszcze słodkie buraczane pączki. Zeszłyśmy się i możeśmy coś pokoleadowały. (...)

Tam była mleczarnia. Mleko oddawano do mleczarni i robiono kazeinę i odsyłano gdzieś do fabryki na guziki (...)

III taśma str. 1 UWAGA: III taśma jest uszkodzona i odtwarza z przerwami.

Jeżeli do sklepu coś przywieziono to przyjeżdżał taki Kazach i przywoził to drzewo. Jeżeli ktoś miał herbatę to drzewo dostał. Nam raz udało się dostać ten kawałek drewna (...). Ale przyszedł Kazach, tam zdala stał koń (...) ja idę i Kazach zrównał się ze mną i mówi tak: ja twoja kupić. Ja mówię: ja nie do sprzedania, ja mam rebionki.

- Ja rebionka kupić. (śmiej) A znowu, jeszcze na I mieszkaniu, jak byłam u tej pierwszej kobiety, to przyszła taka Kazaczka, no i coś tam chciała dostać, czy mleka, czy coś, no i tak sięga - w kożuchu oczywiście, sięga za pazuchę, wyciąga wesz i gryzie ... (...)

Myśmy miały tak: jedną wieś o 5 km, drugą, 12 km, to tam było jezioro i chłopaki chodzili jak już byli więksi (...). Tamte wioski to były "starożytnie" i myśmy się z nimi nie kontaktowali (...). Ludność tam była taka niechętna (...). Nie pamiętam, w którym roku, w każdym razie chyba też w 1943, bo chyba nie od razu (...) przyjechali Czecczeńcy (...) to Gruzini gdzieś tam z tych kaukaskich gór, w każdym razie wysiedleni stamtąd, bo się buntowali (...) i jedna rodzina osiedliła się na przeciwko nas (...). Więc tam był tak: ojciec, taki może 50-letni mężczyzna, kilka kobiet, których nie można było nigdy widzieć, bo one się nie pokazywały na oczy, i młody człowiek, bardzo przystojny chłopak (...) jedna z Polek się zakochała w nim i chciała go potem zabrać, ale przecież nie było wolno (...). Oni tak samo nie mieli z czego żyć, jak i my. I nie mieli czym świecić. Więc jednego dnia u nas się świeciło - przychodzi ten starszy - i mówi, czy nie możemy mu pożyczyć - dać znaczny ... A ta moja sąsiadka, taka ostrzejsza, mówi: jak to dać? My same nie mamy! Jakto nie macie? - Dostałyście. - Dostałyśmy, to musimy mieć na dłuższy czas! A on mówi tak: U nas wsio po pałam! W socjaliźmie, w komunizmie wsio po pałam! Więc dajcie nam! Ledwośmy się obroniły. Ten młodszy jakoś go wypchnął, bo chciał się rzucić i szukać tej nafty. Więc tacy byli dosyć zaborczy. (opowieść o tym, jak owi Czecczeńcy nożem golili dzieciom głowy). I dlaczego ich wysiedlili to my nie wiemy, bo oni się nie udzielali i nic nie opowiadali. Więc miałyśmy tylko tak z domysłów, że pochodzili z Kaukazu, że się buntowali.

Oni zostali, myśmy pojechały, a przybyli chyba w 1943 r. Było ich może 3 rodziny, więcej nie było. To chodzili do pracy. (opowieść o

strojach i obyczajach mahometańskich Czeceńców).

Będę już opowiadać o powrocie. mówiłam już, że dzieci uczyłam pisać na książeczce oszczędnościowej. Więc papieru śmy nie miały i pisać na czym nie było. (o korespondencji i paczkach z Polesia od Heli Moskalówny i p. Bodakowskiej - pomoc żywnościowa i odzieżowa. Również pomoc z UNRRy). Cud boski albo hart. Przecież ja raz chorowałam, miałam nieżyt żołądka (o wyżywieniu przy pracy w kołchozie), a Kazek mój nie chorował ani razu, przez 6 lat! Chłopak nie miał cukru, bo jak ja dostałam skondensowane mleko, taką puszczkę, to zamiast dzieciom dać, dałam łapówkę tamtemu zarządzającemu, żeby mnie przyjął do pracy, do zboża (opowieść o tym, jak w kołchozie składowano pszenicę na siew, na "toku" czyli na gołej ziemi pod daszkiem słomianym, który chronił od śniegu).

Ludzie byli dobrzy ... Wszyscy byli dobrzy, pozwalali mleć na żarnach. Oni przeszli gorzej niż my ... (dygresje nieistotne dla toku opowieści)(oplotkowanie kobiet miejscowych i Polek - żon policjantów i żony popa, która miała złoto zaszyte w serdaku) W każdym razie, jakieśmy wracały, tośmy uważały, że nas na dworcu w Polsce (...), że nas powitają kwiatami (...).W Brześciu to nas rewidowano i ta odprawa jakby była. Potem przejechałyśmy przez Warszawę po moście pontonowym (czym? przecież nie pociągiem!), a potem zatrzymaliśmy się dopiero w Poznaniu (...).Dano nam jakoś znać - wyjeżdżacie, pakować się. Podstawili wozy dla nas, tak że każda rodzina miała swoją furmankę. Jaka radość była, no to można sobie wyobrazić, ale nie żegnali nas specjalnie (...) Ile tych wozów było, nie wiem. Dojechaliśmy do (...) tej stacji pierwszej, chyba do Pietropawłowska nas dowieziono ... Koczowaliśmy (tam) przez tydzień, a potem do pociągu. No to tę chwilę już pamiętam dobrze. Pociągi były takie same, jak w tamtą stronę (...) Ja byłam komendantką wagonu. Każda rodzina chce na tym środkowym posłaniu. No i rozsądzić

tu trzeba było ...(...)Dzieci obsiadły okna i już ich nikt stamtąd nie oderwał (...). Jedzenia każdy ze sobą coś miał trochę (...). Węgla nam nie dali. (trzeba było kraść). Na Białorusi to już (węgla nie było) to już drzewo. (...) Już było cieplej, bo to już był marzec (trasa przejazdu - Ufa -). Nasze Polki tam wybiegły, dobiegły do restauracji (...) i chciały sobie coś kupić do zjedzenia i tam nic prócz kawioru nie było, a na kawior ich nie było stać. I tu było nieszczęście, bo jedna z Polek opóźniła się, pociąg już ruszał, obcięło jej nogi... Nic nie wiemy. Na pewno została, my pojechali dalej, pociągu nie zatrzyma.. W Czelabińsku miała być kąpiel i odwszalnia. Więc zaprowadzono nas do takiego budynku i weszliśmy, czekamy. I oni mówią tak: płaszcze zabieramy do pieców. No więc ja miałam taką peliszkę, nawet jeszcze ją mam, bałam się, tam w niej nie chodziłam, trzymałam na powrót do domu. I jeszcze nadmienię, że sobie schowałam tak na powrót suknię, którą do dziś mam, taką letnią suknię wyjściową, granatową, tego nie nosiłam, tam wszystko zdarłam, a to miało być na powrót, i pończochy, i buty takie eleganckie. To trzymałam w walizce, tego się nie ruszało. No i tą peliszkę też. I daj tu do pieca taką ... Ja ją niedługo przed wojną sobie uszyłam to było mi żal (...) I taki selskinowy kołnierzyk. Strasznie go lubiłam i żal mi było. Ale nic nie poradzi, musiałam dać. I zabrali nasze wierzchnie odzienie, wszystko do tych pieców. A nas - dali nam takie kółka i wszystko, co miałyśmy na sobie, znowu tę odzież, miałyśmy się rozebrać i na tych kółkach trzymać i iść. I szłyśmy tak nagie, jak nas "maty rodyła", jedna za drugą do tej łaźni. A łaźnia - no nagieśmy były - różne tam widziałam ciała i młode i starsze, widziałam taką dziewczynkę z rudym zarostem. Łaźnia była taka, że były takie krany z gorącą wodą i z zimną wodą. I właśnie ta jedna pani, Mazurowa, zamiast odkręcić zimny, to odkręciła gorącą wodę i sparzyło ją (...) Ale mogłyśmy się umyć i wykapać, my-

dło było. Tylko ręczników nie było, tośmy się potem otrząsały i schłyśmy (...). Ale mężczyźni mieli iść osobno (...). To mężczyźni poszli do osobnej łaźni, nasi chłopcy z nimi. I teraz my już wykąpane, odebrałyśmy już z tych pieców te swoje płaszcze, odwszone - powiedzmy - ale dzieci nie ma ... A pociąg gwiżdże ... Znaczy - czas wyjeżdżać. Więc ja jak szalona i ona też, lecimy szukać dzieci. No i spotkałyśmy ich na korytarzu, biegli też szukać nas. I jakoś żeśmy się spotkały i zdążyliśmy dojść do tego wagonu. Ale jak nas traktowano ... no tak, jak zwierzęta (...). Wsiadamy i możemy jechać dalej (...) aż do Poznania. W Poznaniu koczowałyśmy chyba długo (...) nie wiem dlaczego nas tak trzymali, bo nikt nas o nic nie pytał, nie odwiedzał, nikt nas nie witał, nikt nam nic nie przynosił (...). I w końcu nam oznajmiono, że jedziemy dalej, nie przesiadamy się, tylko mamy jechać na zachód (...) to wtedy ja się odważyłam i wysiadłam, Skrętkowa (?) też. Ale w ciągu drogi, już nie pamiętam, czy to było przed Brześciem (...) wtedy wszedł do wagonu jakiś mężczyzna i pyta się: która kobieta chce iść ze mną? No to zgłosiła się jedna taka czarnulka (zapomniałam jej nazwiska) była bezdzietna, młoda, przystojna taka kobieta - "ja pójdę, ale jakie warunki Pan daje?" A on mówi: "mam gospodarstwo i chce pani, to może pani iść ze mną" I poszła, ale co było dalej z nią, to ja nie wiem.

(...) Ja miałam przesyłkę z Kanady od tow. oświatowego (...) dostałam taką przesyłkę: paczka, w niej (...) wełna, tak żeby mi starczyło (...) ja miałam z tego trzy swetry i druty (...) takie z plastiku i list, w którym mi piszą, żebym nawiązała z nimi kontakt (...). No więc ja już tu uczyłam w szkole (...) już byłam w PZPR i już się bałam nawiązywać kontaktu z jakimiś tam kapitalistami (...) i odpisałam tak bardzo oględnie (...) i tak zostało, oni więcej nie odpisali. No, ale ja byłam ciekawa, skąd mają mój adres. No więc albo mieli "wtyczki" z tych wysiedlonych, albo też ta pani, która po-

jechała do Atmii Andersa, ta pani Czaprowska, mogła mój adres podać (...)

Ta chałupka, to jest wyremontowana, to są nowe mury, nowe okna, i cały dom, ten mój syn Kazik wszystko sam murował (...)

To było tak, więc w Poznaniu wsiadłam z tymi dziećmi, chyba było napisane na pociągu którądy ... Ja wsiadłam i już on mnie wiozł (...)

Z Poznania wprost tu - do Jasła, w Jasle się przesiadałam (...) Spotkałam w drodze dziewczęta, które wracały z drugiego frontu, to te, które były wywiezione do tych niemieckich Bauerów ...

Mój syn dotychczas to zazdrości, bo myśmy jednak tak: ja miałam buty przewiązane sznurkami (...) i czapkę taką sama sobie zrobiłam, taką kominiarkę (...) No, wyglądałam strasznie! A moi chłopcy - jeden miał płaszczyk taki, który jeszcze wiozłam na Sybir, był starszego - dostał się teraz na młodszego, a drugiemu uszyłam sama płaszcz z koca, z tej Unrry (...) Jakies tam czapeczki uszanki mieli, jakies tam trzewiczki mieli. I wiozłam co- (...) wiadro drewniane, wspinał! tak, jak beczki się robi, antałki takie (...) i to wiadro tak kochałam, że wiozłam go z Poznania do Krosna (...) W drodze nas spotkali z Krosna. Stawski był, chyba do Jasła po coś wyjeżdżał, tak, że on mnie poznał ... (...) No i te dziewczęta ... Moi chłopcy jak to widzieli - one ubrane w te amerykańskie bluzy, spodnie, miały te worki wojskowe takie naładowane, to do dzisiaj Kazek wspomina z zazdrością (...) Ten Stawski, który na³rozpoznał, już mi wszystko o Krośnie zdążył opowiedzieć i o mojej rodzinie (...) Jak wysiadłam tu, na stacji, to już brat na mnie czekał, on miał konia, on miał wóz (...) I potem mnie prowadził (...) nie tędy, gdzie jego znajomi, tylko mnie prowadził bursakami (?), ja z tym workiem i z tym wiadrem szłam i ludzie szli i zauważyli, że ja mam pierścionek, był z takim kamykiem czerwonym, z rubinem niby i obrączką i potem mówili: " jaka im tam bieda, jak ona ma pierścionki na ręce" Ja to trzy-

małam jako swój talizman (...) mogłam z głodu umrzeć, a nie oddałam. (...) Mama się ucieszyła: "Moja córunia! a przecież mnie Cyganka wróżyła, że Ty wrócisz i wróciłaś! - no radości było co niemiara ... No i pogłoska poszła, do tego domu, do teściowej, no więc teściowa poczuła się też babką, jak trzeba (...) przecież to moje wnuki, no i zabrała nas (...) Nikt nie przyszedł nas powitać, nikt nie przyniósł mi nic, no bo z zagranicy, z Rosji wróciła (...) Prędko zebrałam się w sobie i jeszcze w kwietniu poszłam do inspektoratu szukać pracy (...) Moi chłopcy - Kazek miał już 11, a Andrzej 13, bo 7 a 6 to jest 13 ... A byli tacy mali, jak ten mój wnuszek, co do 6 klasy chodzi (...) Teściowa się zatroszczyła, kupiła takiego harcerskiego materiału (...), a dla Kazka to ja dostałam od mego znajomego taki "celtowy" (?) wór i uszyłam na wzór tego mundurku harcerskiego ... I oni za parę miesięcy poszli w tych ubraniach do Komunii (...) No, poszłam do tego inspektoratu. Był Chrzanowski i był (...) Pietruch, (...) więc ja się zwracam - wróciłam z Sybiru (...) i chcę dostać pracę. - Nie mamy etatu. (...) Ale Pietruch się mi przygląda i mówi: "proszę Panią, to prawda, że nie mamy etatów, ale ja tu pani wykombinuję. W Sulistrowej jest etat, ale pani tam nie pójdzie, na Dolnym Krościenku jest zastępstwo potrzebne. I daje mi nominację do Sulistrowej i zastępstwo do Jaworskiego (...) W porządku, idę do pracy (...)

Ja chodziłam codziennie te 6 km i z powrotem od maja do czerwca i później przez cały rok od września do drugiego czerwca. A w czasie wakacji jeździłam na kolonie, bo trzeba było dorobić. No więc ja znowu nie miałam butów (...) i dostałam też z UNRRy koc i buty dla siebie i takie - na dwie sukienki (...) Babka gotowała, dawała nam kawę z kozim mlekiem, jakieś tam ziemniaczki, jakieś coś, dzieci piły to kozie mleko, zaczęły strzelać w górę, rósć jak głupi ... Ja potem zaczęłam trochę gospodarzyć i w polu posadziłam ziemniaki (...) No i potem był drugi Sybir tutaj, jak my biedowali! Przecież

ja nie zarabiałam, żeby troje osób utrzymać! (...) Zaczęłam palić papierosy i do piętnastego mi brakło na papierosy (...) Jakoś przeżyło się. Później zaczęłam dawać lekcje, dzieci urosły... No to już lata leciały. Kiedy ja wróciłam? W 1946, a moi chłopcy do wojska szli kiedy? W pięćdziesiątym którymś ...Mój starszy syn był zapalonym spadochroniarzem. Było tu lotnisko (...) on tam chodził, on tam latał i skakał, i marzył o tym, żeby się dostać do lotnictwa i jak złożył maturę, poszedł, na ochotnika się zgłosił (...)

(...) fragmenty nieczytelne, lub nieistotne dla treści oceny
Tekst w nawiasach okrągłych - skrócenie fragmentu
powiedzanego niegramatycznie lub ze zbytymi dygresjami